

Julio Cortázar

PRZYJACIELE

W tej grze wszystko musiało iść szybko. Kiedy Numer 1 zdecydował, że należy zlikwidować Romera, Numer 3 podjął się tego zadania, Baltran został powiadomiony w ciągu paru minut. Spokojny, ale nie tracąc ani chwili, wyszedł z kawiarni na rogu Corrientes i Libertad i wsiadł do taksówki. Podczas gdy kąpał się w swoim mieszkaniu, słuchając dziennika, przypomniał sobie, że ostatni raz widział Romera w San Isidro, w dniu, kiedy przegrał na wyścigach. W owym czasie Romero był jeszcze niejakim Romero, on zaś niejakim Baltranem, byli przyjaciółmi, dopóki życie nie pchnęło ich w odmiennych kierunkach. Uśmiechnął się krzywo na myśl, jaką też minę zrobi Romero na jego widok, jakkolwiek mina Romera nie miała żadnego znaczenia, należało natomiast powoli przemyśleć sprawę kawiarni i samochodu.



Było dziwne, że Numer 1 postanowił, iż Romero zostanie zabity w kawiarni na rogu Cochabamby i Piedras, i to o takiej porze; jeżeli wierzyć pewnym informacjom. Numer 1 był już może trochę za stary. W każdym razie niezręczność tej decyzji miała i dobre strony: dość czasu, by wyciągnąć auto z garażu, zatrzymać się w pobliżu Cochabamby, nie gasząc motoru, i czekać na chwilę, w której Romero, jak zwykle, przyjdzie koło siódmej spotkać się z przyjaciółmi. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, można będzie uniknąć zarówno wejścia do kawiarni, jak i tego, by bywalcy kawiarni mogli go zobaczyć lub też podejrzewać o współudział. Była to sprawa szczęścia i obliczenia, zwykły gest (którego Romero nie mógłby nie zauważyć, bo ma oko rysia), a potem kwestia włączenia się w ruch i jak najszybszego zniknięcia za rogiem. Jeżeli obaj zachowają się jak należy – a Baltran był pewny Romera, jak siebie samego – wszystko stanie się w mgnieniu oka. Znow się uśmiechnął, myśląc o minie Numeru 1, kiedy później, o wiele później, zadzwoni do

niego z jakiegoś automatu, by go zawiadomić o tym, co się stało.

Ubierając się szybko, wyciągnął z paczki ostatniego papierosa i przejrzał się w lustrze. Potem wyjął z szuflady drugą i przed zgaszeniem światła sprawdził, czy wszystko jest w porządku. Hiszpanie z garażu dbali o jego forda jak złoto. Powoli zjechał ulicą Chacabuco i dziesięć przed siódmą zatrzymał się o parę metrów od drzwi kawiarni, po uprzednim dwukrotnym objechaniu bloku, aby ciężarówka z towarami zrobiła mu miejsce. Tam, gdzie stał, ci z kawiarni nie mogli go widzieć. Od czasu do czasu lekko naciskał pedał gazu, żeby silnik nie wystygł. Nie chciał zapalić, ale wściekało go, że ma sucho w ustach.

Pięć minut przed siódmą zobaczył Romera idącego przeciwnym chodnikiem; poznał go od razu po szarym

kapeluszu i dwurzędówce. Spojrzawszy przez szybę w głąb kawiarni wykalkulował, ile czasu upłynie, zanim przejdzie przez ulicę i podejdzie aż tutaj. Ale Romerowi nie się nie mogło stać w takiej odległości od kawiarni; trzeba było pozwolić, żeby przeszedł na tę stronę i wszedł na chodnik. Dokładnie w tym momencie Baltran ruszył, wysuwając ramię przez okienko. Tak jak przewidział, Romero spostrzegł go i zatrzymał się zaskoczony. Pierwsza kula trafiła go między oczy, potem Baltran puścił serię w walącą się masę. Ford jechał ukosem, szybko wyprzedził tramwaj i zakreślił w Tacuari. Prowadząc bez pośpiechu Numer 3 pomyślał, że ostatnim obrazem w oczach Romera była twarz niejakiego Baltrana, kompana z wyścigów w innych czasach.

Przełożyła Zofia Chądzyńska

Julio Cortázar, *Opowiadania zebrane*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977

Jorge Luis Borges

RÓŻA PARACELSA

W pracowni, która zajmowała obie izby piwnicy, Paracelsus prosił swojego Boga, swojego nieokreślonego Boga, jakiegokolwiek Boga, by zesłał mu ucznia. Zmierzchało. Wątył ogień na kominku rzucał nieregularne cienie. Zbyt wielkim wysiłkiem było wstać i zapalić żelazną lampę. Paracelsus, roztargniony z powodu znużenia, zapomniał o swojej prośbie. Noc zamazała już tygiel i zakurzone alembiki, gdy załomotano do bramy. Wstał, senny, wspiął się po krótkich spiralnych schodach i otworzył jedno skrzydło drzwi. Wszedł nieznajomy. On również był bardzo zmęczony. Paracelsus wskazał mu ławę; obcy usiadł i czekał. Przez jakiś czas nie zamienili słowa. Mistrz przemówił pierwszy:

- Pamiętajam twarze z Zachodu i twarze ze Wschodu – powiedział nie bez pewnego patosu. – Twojej nie pamiętam. Kim jesteś, czego ode mnie chcesz?

- Moje imię nie ma znaczenia – odrzekł obcy – Trzy dni i trzy noce wędrowałem, aby wejść do twego domu. Chcę być twoim uczniem. Przynoszę ci cały mój majątek.

Wydobył sakiewkę i wytrząsnął ją nad stołem; uczynił to prawą ręką.

Monet było wiele i ze złota. Paracelsus stanął za jego plecami, by zapalić lampę. Gdy się odwrócił, spostrzegł, że lewa ręka przybysza trzyma różę. Róża zaniepokoiła go.

Pochylił się, złączył koniuszki palców i powiedział:

- Mniemasz, że potrafię wytworzyć kamień, który przemienia wszystkie elementy w złoto, a sam złoto mi dajesz. Nie złota szukam i jeżeli ty pragniesz złota, nigdy nie będziesz moim uczniem.

- Złota nie pragnę – odpowiedział obcy. – Te monety świadczą tylko o tym, jak silna jest moja wola studiowania. Chcę, byś nauczył mnie Sztuki. Chcę przebyć u twojego boku drogę, która prowadzi do Kamienia.

Paracelsus odrzekł powoli:

- Droga jest Kamieniem. Początek jest Kamieniem. Jeżeli nie rozumiesz tych słów, jeszcze nie zacząłeś pojmować. Każdy krok, który uczynisz, jest celem.

Obcy spojrział na niego z niedowierzaniem. Powiedział zmienionym głosem:

- Ale, czy cel istnieje?

Paracelsus uśmiechnął się.

- Oszczercy, którzy są nie mniej liczni od głupców, twierdzą, że go nie ma, i nazywają mnie szalbierzem. Nie przyznaję im racji, chociaż niewykluczone, że cel jest tylko utudą. Wiem, że Droga „istnieje”.

Zapadło milczenie i odezwał się obcy:

- Gotów jestem przemierzyć ją z tobą, nawet jeżeli musielibyśmy wędrować wiele lat. Pozwól mi przebyć pustynię. Pozwól mi dojrzeć, choć z oddali, ziemię obiecaną, nawet gdy gwiazdy nie pozwolą mi po niej stąpać. Pragnę dowodu, nim wyruszę w drogę.

- Kiedy? – zapytał z niepokojem Paracelsus.

- Zaraz – powiedział uczeń z nagłym postanowieniem.

Zaczęli rozmowę po łacinie, teraz mówili po niemiecku. Młodzieniec uniósł różę do góry.



- Powiadają – rzekł – że potrafisz spalić różę i wskrzesić ją mocą twojej sztuki. Pozwól mi być świadkiem tego cudu. Oto cię proszę, a potem oddam ci całe moje życie.

- Jesteś bardzo łatwowerny – powiedział mistrz. – Nie łatwowerności mi trzeba; żądam wiary.

Obcy nalegał.

- Dlatego, iż nie jestem łatwowerny, pragnę na własne oczy ujrzeć unicestwienie i zmartwychwstanie tej oto róży.

Paracelsus ujął różę i, rozmawiając, bawił się nią.

- Jesteś łatwowerny – powiedział. – Mówisz, że potrafię ją zniszczyć?

- Każdy potrafi ją zniszczyć – powiedział uczeń.

- Mylisz się. Czy sądzisz, że cokolwiek można zwrócić nicości? Czy sądzisz, że pierwszy człowiek w Raju mógł być zniszczyć jeden choćby kwiat lub źdźbło trawy?

- Nie jesteśmy w Raju – powiedział z uporem młodzieniec. – Tu, pod księżycem, wszystko jest śmiertelne.

Paracelsus powstał.

- W jakimże innym miejscu jesteśmy? Sądzisz, że boskość może stworzyć miejsce, które nie byłoby Rajem? Sądzisz, że Upadek jest czymś innym niż niewiedza, że jesteśmy w Raju?

- Każda róża może spłonąć – powiedział wyzywająco uczeń.

- Jest jeszcze ogień na kominku – powiedział Paracelsus. – Jeżeli rzuciłbyś tę różę w palenisko, sądziłbyś, że strawił ją ogień i jedynie popiół jest prawdziwy. Powiadają ci, róża jest wieczna i tylko jej kształt może się zmienić. Wystarczyłoby jedno moje słowo, abyś na nowo ją ujrzał.

- Jedno słowo? – zapytał ze zdziwieniem uczeń. – Tygiel jest wygaszony i alembiki są wypełnione popiołem. Co uczynisz, by ją wskrzesić?

Paracelsus spojrział na niego ze smutkiem.

- Tygiel jest wygaszony – powtórzył – i alembiki są wypełnione popiołem. O zmierzchu moich długich dni używam innych narzędzi.

- Nie śmiem pytać, jakich – powiedział obcy przebiegle, a może pokornie.

- Mówię o tym, którego użyła boskość, aby stworzyć niebo i ziemię i niewidzialny Raj, w którym jesteśmy, lecz grzech pierworodny ukrywa go przed nami. Mówię o Słowcu, o którym naucza nas Kabała.

Uczeń powiedział chłodno:

- Proszę cię pokornie, ukaż mi, jak znikła i pojawia się róża. Nie dbam o to, czy posłuszysz się alembikiem czy Słowem.

Paracelsus zamyślił się. W końcu powiedział:

- Gdybym to uczynił, rzekłbyś, że to kształt nadany przez magię twoich oczu. Cud nie dałby ci wiary, której szukasz. Zostaw różę w spokoju.

Młodzieniec patrzył na niego wciąż z niedowierzaniem. Mistrz podniósł głos i powiedział mu:

- A właściwie, kim ty jesteś, by wejść do domu mistrza i żądać od niego cudu? Czego żeś dokonał, aby godnym być tego daru?

Uczeń odparł, drżący:

- Wiem, że niczego nie dokonałem. Proszę cię, w imię tych wielu lat, które poświęcę terminowaniu w cieniu twej osoby, pozwól mi ujrzeć popiół, a potem różę. O nic więcej cię nie poproszę. Uwierzę w świadectwo moich oczu.

Pochwylił gwałtownie szkarłatną różę, którą Paracelsus położył na pulpicie, i cisnął ją w płomień. Zniknęła barwa i pozostała tylko smużka popiołu. Przez nieskończoną chwilę czekał na słowo i na cud. Paracelsus stał niewzruszony. Powiedział z osobliwą prostotą:

- Wszyscy medycy i wszyscy aptekarze Bazylei utrzymują, że jestem oszustem. Być może mają słuszość. Oto jest popiół, który był różą i który już nigdy nią nie będzie.

Młodzieniec poczuł wstyd. Paracelsus jest szarlatanem albo zwykłym wizjonerem a on, intruz, przekroczył jego progę i teraz zmusza go do wyznania, że jego słynne sztuki magiczne były pozorem. Ukłąkł i rzekł mu:

- Mój czyn jest niewybaczalny. Zabrakło mi wiary, której Pan żąda od wierzących. Pozwól, bym nadal widział popiół. Powrócę, gdy będę silniejszy i będę twoim uczniem, a u kresu Drogi zobaczę różę.

Mówił ze szczerą pasją, lecz jego pasja była litością, jaką wzbudzał w nim stary mistrz tak wielbiony, tak łzony, tak sławny, a przez to tak próżny. Kim był on, Johannes Grisebach, by dokonać świętokradczego odkrycia, że pod maską nie ma nikogo?

Pozostawienie złotych monet byłoby jałmużną. Zabrał je, wychodząc. Paracelsus odprowadził go do podnóża schodów i powiedział mu, że w tym domu zawsze będzie oczekiwany. Obaj wiedzieli, że już się nigdy nie zobaczą.

Paracelsus został sam. Zanim zgasił lampę i usiadł znużony w fotelu, nasyłał w dłoń garść popiołu i wypowiedział cicho jedno słowo. Róża zmartwychwstała.

przełożyła Zofia Chądzyńska

„Literatura na świec” nr 12 (209), grudzień 1988